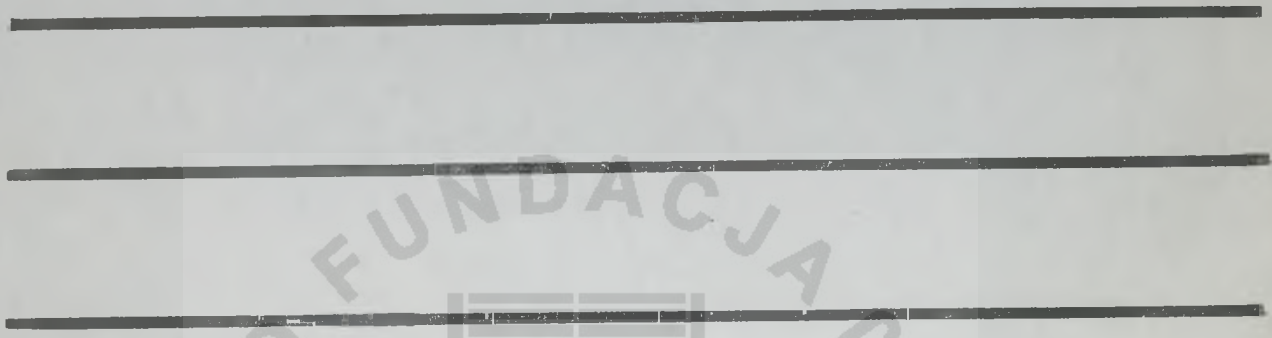


*Hendry Knybeli*

MEMORIAL *Wittek*  
General Marii Wittek

# TECZKA



*Slaw. Serw.*

ix. 1939

AK  
Kula

*brak edy.*

*Gnesiwia Jone*

*ps. "Marta"*

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI — GRXESIEWICZ Irena

ps. „Marta”

T. 495/WSK

I/1. Relacja ✓ k. 9, s. 1-9

I/2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące osoby relatora —

I/3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące osoby relatora —

II. Materiały uzupełniające relację —

III/1 — Materiały dotyczące rodziny relatora —

III/2 — Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III/3 — Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) —

III/4 — Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 r. —

III/5 — inne... —

IV. Korespondencja —

V. Nazwiskowe karty informacyjne ✓ 1

VI. Fotografie —



## I/1 Relaya

- Relaya sporządzona przez Irenę Grzesienicz ps. "Marta" dotycząca okresu od 16. września 1943 roku do maja 1945 roku, jej po aretowaniu, następnie pobytu w obozie Oświęcim - Poczinka, Ravensbrück, Zielona Góra, maj 1996, mps, k. 5, s. 1-5
- Relaya matna Ireny Grzesienicz o pierwszych dniach września 1939 roku, wdziale "Pogotowiu Marcenskim", Zielona Góra, październik 1996, mps, k. 4, s. 6-9



*Inesiewicz Marja*

## MÓJ PIERWSZY DZIEŃ

### PO ZAKOŃCZENIU WOJNY.

Dzień, którego nie zapomnę do końca życia - 26 wrzesień 1943 r. dzień szczególnie ważny w moim życiu.

Pamiętam, jakby to było wczoraj. Idę ulicą w towarzystwie dwóch panów ubranych po cywilnemu. Przechodnie nie zwracali na nas uwagi, wyglądało, że trójka znajomych wyszła na spacer. Jeden gestapowiec trzyma mnie pod rękę, drugi idzie z drugiej strony. O ucieczce nie ma mowy, czuję jak jeden z nich mocno ściska moje ramię. Dochodzimy do bramy więzienia przy ul. Malczewskiego w Radomiu. Wchodzimy do budynku - słyszę, jak za nami przekręca się klucz. A potem - ten charakterystyczny dźwięk, trzesk zamykających się żelaznych bram. Tymi żelaznymi kratami podzielony jest cały budynek na sektory. Ten dźwięk dźwięczy mi stale w uszach - do dnia dzisiejszego.

Kiedy pchnięta przez gestapowca znalazłam się w celi, zrozumiałam, że straciłam wolność.

Nie ma rzeczy gorszej, jak utrata wolności. Odtąd muszę robić to, co mi każą, często wbrew swojej woli. Utraciłam wszelkie prawa, nikt mi nie pomoże, nikt się za mnie nie ujmie. Słyszałam o nieludzkich metodach stosowanych przez Gestapo.

To stało się tak nagle. Dopiero wczoraj spieszyłam się z przepisywaniem komunikatów z nasłuchu radiowego, żeby zdążyć na czas. Ale łączniczka nie przyszła. Dopiero później dowiedziałam się, że była aresztowana wraz z szefem Oddz. VI BIP "Rafałem". W tak zwanym "Tramwaju", korytarzu w Gestapo, gdzie oczekiwaliśmy na przesłuchiwanie, zobaczyłam osoby, z którymi bezpośrednio pracowałam a także znajomych, o których nawet nie wiedziałam, że byli żołnierzami Armii Krajowej.

Dni w więziennej celi były bardzo podobne do siebie, choć trudno powiedzieć, że życie w więzieniu było monotonne. Codziennie rano przeżywałyśmy prawdziwą gehennę - rano wyczytywano nazwiska tych, które szły do Gestapo na przesłuchiwanie. Wieczorem przeżywałyśmy denerwujące chwile - powrót koleżanek z badań. Z niepokojem obserwowaliśmy, w jakiej formie fizycznej i psychicznej wracają, czy o własnej sile, czy też prowadzone lub niesione. Czy twarze ich są spokojne, bo nikogo nie wydały, czy też przygnębione, bo nie udało im się zachować w tajemnicy, czego nie powinny powiedzieć.

Ja byłam wzywana codziennie przez przeszło miesiąc. Dopiero gdy mnie przyniesiono pobitą tak, że nie byłam w stanie o własnych siłach zeznać w Gestapo, miałam przez pewien czas spokój.

Mimo, że nie miałyśmy takich przywilejów, jakie miały zwykłe przestępczynie, byłyśmy uszczęśliwione, że my, polityczne, jesteśmy razem w jednej celi. Byłyśmy bardzo żyte, jakbyśmy się znały od lat. Łączyła nas wspólna walka z wrogiem i wspólna idea, dla której pracowałyśmy na wolności, dla której ryzykowałyśmy zdrowiem i życiem.

Tu, w więzieniu, panowała życzliwość. Jedna drugiej udzielała pomocy, podtrzymywała innych na duchu, dodawała otuchy. Życzliwe spojrzenie lub gest do wywoływanych na zeznania zdawały się mówić: "trzymaj się, nie daj się złamać, nikogo nie wydaj, my wszystkie jesteśmy z tobą." To naprawdę dodawało siłę i odwagi.



Gdy jechałyśmy do obozu, zdawało nam się, że tam będzie lepiej, że tam również będą same polityczne. To, co zobaczyłyśmy, przekraczało nasze wszelkie wyobrażenia. Czułyśmy się, jak ogłuszone, jakbyśmy dostały "obuchem w łeb". Każda z nas czuła się ogromnie osamotniona, pomimo, że znajdowała się w tłumie kobiet. Wszystkie wrogo do siebie nastawione, żadna nie znalazła w tym tłumie zrozumienia, współczucia, pomocy. Wprost przeciwnie - Należało się unikać wzajemnie i bać, bo nigdy nie było wiadomo, skąd spadnie cios. Tu liczyła się tylko siła i przemoc. Każda wyczyła o własny byt, o przetrwanie. To przecież nie był zwykły obóz pracy - to był Vernichtungslager - obóz zniszczenia.

Gestapowcy dobrze obmyślili sposób, aby nas załamać psychicznie. Nie tylko stworzyli warunki, które dla normalnego człowieka były makabryczne, ale umieścili nas, polityczne, razem z rezydentkami, bandytkami, złodziejkami i prostytutkami. Pomieszali nas tak dlatego, aby one nas wykończyły, nawet bez udziału Gestapo.

One to wyżywały się na nas, wyzywając od najgorszych, biły gdzie popadło i kiedy się tylko nadarzyła okazja a nawet bez okazji. Często okładały nas kijami, aby wyładować swój zły humor. Najbardziej niebezpieczne były, gdy dążyły do zdobycia jakiejś funkcji obozowej. Aby się zasłużyć, składały donosy na współtowarzyszki, najczęściej fałszywe. Gdy już taką funkcję otrzymały, wykorzystywały ją do tego, by być bardziej okrutną, aby zdobyć uznanie władz. Czym głębiej krzyczały, biły i kopały, tym szybciej otrzymywały jeszcze wyższą funkcję. Były też takie, które odczuwały rozkosz bicia. Widok krwi je podniecał. Czuły się ważne, że mogą panować nad stadem wynędzniałych ludzkich istot, głupich, ich zdaniem, bo nie umiały urządzić się w lagrze. Były to kobiety bez zasad moralnych, dochodzące do celu po trupach, bez skrępowań, często pozbawione uczuć ludzkich.

Jak ciężko było żyć wśród takich ludzi mnie, harcerce, która od małego starała się przestrzegać prawo harcerskie, które wzywało do bezinteresowności, miłości bliźniego, do niesienia pomocy słabszym a nawet do wyszukiwania potrzebujących, aby zaliczyć t.zw. dobry uczynek. Ileż tu właśnie było okazji, aby wyświadczać sobie nawzajem pomoc, życzliwość i opiekę .

Do załamania psychicznego doprowadzały warunki obozowe. Ten nagły przeskok z cywilizacji do tak prymitywnego życia załamał niejedną nowoprzybyłą więźniarkę. Brak wody, robactwo, świerzb, brud i głód, choroby, zmuszanie do bezcelowej pracy, uczucie stałego zagrożenia i poczucie własnej bezsilności odbierało nadzieję na przetrwanie. I to upadanie nas na każdym kroku, odwszarzanie i selekcje, gdy zmuszone byłyśmy, my ledwo poruszające się szkielety, do defilowania nago przed dobrze odżywionym, butnym, stojącym w rozkroku, Niemcem. Bo więźniarki w Birkenau to już nie ludzie, nie kobiety - to tylko numery. Mimo akcji odszczurzenia tyfus plamisty panował wszęchwaładnie. Szerzyła się nieznaną nam choroba t.zw. pęcherzyca, zawsze kończąca się śmiercią.

Największe spustoszenie czyniła biegunka t.zw. durchfall, doprowadzająca do zupełnego cherlactwa. Silne bóle zmuszają do natychmiastowego wydalania kału. Nieszczęsne kucaly między blokami, bite po plecach i po głowach! przez funkcyjne nie miały już siły uciekać i leżały w błocie i własnym kale, oczekując zbawczej śmierci. Konały w błocie, bo w obozie w Brzezince było stałe błoto, maź oblepiająca podeszwy drewniaków dodająca im ciężaru. Niedokarmione, schorowane, opadłe z siły kobiety ledwo wyciągały nogi z błota, które nigdy nie wysychało. Plagą obozową był świerzb. Człowiek mógł się zadrapać na śmierć. Całe ciało było jedną wielką raną, która nigdy się nie goiła.



Mimo częstego odwszarzania, gnidy ożywały w brudnych ubraniach i wazy można było ścierać garściami.  
W nocy gryzły pluskwy, w niektórych barakach nie można było spać.

Wyczerpanie fizyczne szło w parze z wyczerpaniem psychicznym. W lagrze było dużo kobiet całkowicie załamanych. Szły one "na druty" szukając śmierci albo stawały się "muszłmanami". Były to snujące się po obozie postacie, owinięte w koce, doprowadzone do takiego stanu obojętności, że już niczego nie pragnęły i biernie oczekiwały śmierci. Były też kobiety tak zdeprawowane przez głód, że dla chleba gotowe były tyranizować współtowarzyszki i okradać je.  
Były też słabe charaktery, z gruntu egoistyczne, w których warunki obozowe wyzwalały złe instynkty. Kierowały się one maksymą "ten przeżyje kto silniejszy" i szły po trupach, nie patrząc na krzywdę ludzką. Tak bardzo chciały żyć, za wszelką cenę, nawet za cenę swej godności i człowieczeństwa.

Na przetrwanie miał szansę tylko ten, kto nie załamał się psychicznie i do końca wierzył, że wyjdzie na wolność. Ta chęć przetrwania nakłoniła mnie do powzięcia ryzykownej decyzji. Zgłosiłam się do pierwszego transportu, jaki odjeżdżał z Birkenau. Transport ten udał się do Lotaryngii, do fabryki amunicji. Krótka tam byłam. Fabryka została zbombardowana a my, więźniarki znalazłyśmy się na szosie wraz z uciekającą ludnością cywilną i wojskiem niemieckim. Przeżyłam wędrówkę podobną do tych, które miały miejsce na polskich szosach w 1939 roku.

Po wielu jeszcze przejściach znalazłam się znów w obozie, tym razem w Ravensbrücku.

W Ravensbrück warunki były lepsze niż w Oświęcimiu pod każdym względem. Było tylko coraz ciasniej, bo wciąż napływały transporty z powstania warszawskiego. Panowała już zupełnie inna atmosfera. Czuko się w powietrzu, że szale wojny przechylają się na niekorzyść Niemców. Odżyła nadzieja rychłego oswobodzenia.

Wojna się kończy, wolność staje się rzeczą realną - ale czy my doczekamy wolności, czy przeżyjemy?

Zdawałyśmy sobie sprawę, że Niemcy będą chcieli zatrzeć wszelkie ślady, aby nie zostawić dowodów ich zbrodniczej działalności. Może zlikwidują obóz, zanim my dostaniemy się na wolność. A może wpierv nas zlikwidują - wylecimy na wolność, ale kominem.

Był koniec kwietnia 1945 roku. Wyczuwało się wyraźnie jakiś niepokój wśród Niemców. Pewnego dnia rozdano nam paczki Czerwonego Krzyża, jedna na cztery osoby. To był już znak, że koniec wojny zbliża się. Kolumny, wychodzące do pracy poza teren obozu szeptały, że nieopodal stoja autobusy ze znakiem Czerwonego Krzyża.

Wkrótce zaczęto wywoływać wszystkie więźniarki i ustawiać na placu piątkami według narodowości. Czyżby Niemcy sami wyprowadzali nas na wolność?

Pierwsze za bramy obozu wyszły Niemki - czarne winkle. Szczęśliwe, rozradowane, kiwając nam wszystkim na pożegnanie wymaszerowały. Ale na drugi dzień krążyły pogłoski, że żadna z nich nie żyje - zostały spalone w krematorium. Błady strach na nas padł. Żeby tyle przeżyć, przetrwać do dnia dzisiejszego i zginąć w przeddzień uzyskania wolności? - to byłoby straszne.

Na drugi dzień Niemcy wyprowadzili słabe i chore. Byłyśmy przekonane, że zginą w krematorium, ale rozeszła się wieść, że odjechały autobusami Czerwonego Krzyża. Rzeczywiście - autobusy znikły,



Gnębiła nas niepewność.

Następnego dnia przyszła kolej na nas Polki. Wyprowadzono nas za bramą i skierowano w przeciwną stronę, niż znajdowało się krematorium. Odetchnęliśmy z ulgą. Ale jaki los nas czeka? Czy nie zechcą nas zniszczyć w inny sposób.

Doszliśmy do toru kolejowego. Zapakowano nas do wagonów bydłych i pozostawiono na opiece niemieckich kolejarzy. Nie byliśmy zamknięte. Była możliwość ucieczki. Ale czy jest sens uciekać na terenie Niemiec, blisko Berlina, na linii frontu. Zewsząd słychać bombardowanie, a my stoimy na bocznicach.

Długo trwała ta podróż, bo więcej stałyśmy jak jechały. W końcu dojechałyśmy do Kopenhagi. Pociąg obstawiała żandarmeria niemiecka i jak zawsze przy wysiadaniu słychać było głośne nawoływania: los, schnell, weiter! Wsiadłyśmy, patrzymy i oczom nie wierzymy - Niemcy odeszli.

Jeszcze nie dowierzałyśmy. Wsiadłyśmy do wagonów osobowych, siedziałyśmy na ławkach, jak normalni podróżni. Dostałyśmy po kubku mleka i bułkę z masłem. Już nie pamiętałyśmy jak to smakuje. Siedziałyśmy spięte, niedowierzające, bo może wrócą jeszcze Niemcy i nas stąd zabiorą? Dopiero na promie wiozącym nas do szwedzkiego portu Malmö, uspokoiliśmy się i uwierzyłyśmy w swoje ocalenie.

Był to dzień 1-go maja 1945 roku.

Ogólne wyczerpanie nie pozwalało na żywsze okazywanie radości, ale cieszyły się wszystkie, płakałyśmy z radości, śmiałyśmy się, ścisnęłyśmy, szczęśliwe, że doczekałyśmy się wolności, tak bardzo oczekiwanej. Już nie martwiłyśmy się, że w ostatniej chwili przed wyzwoleniem - możemy zginąć.

Rozkoszowałyśmy się tym, czego nam tak bardzo brakowało: kąpielą w wannie z ciepłą wodą, dobrym jedzeniem, miękką pościelą, ciszą i czystością, jaka nas otaczała.

Trudno nam było uwierzyć, że obóz się skończył.

Jednym z dowodów tego był nawyk, nabyty w obozie, chowania chleba. Stałe jeszcze bałyśmy się, że nam chleba zabraknie, że jutro możemy go nie dostać. To też codziennie, przez długi jeszcze czas, znajdowano pod poduszkami pajdki schowanego na później chleba.

Ubrano nas w kombinezony robocze a później w sukienki.

Obdarowano nas przyborami do mycia, każda dostała grzebyk i lustereko i cieszyła się tym jak dziecko.

Szwedki otaczały nas opieką, życzliwością, patrzyły na nas ze współczuciem, dziwiły się, że jesteśmy takie chude, że tak mało ważymy.

Starano się dostarczyć nam jaknajwięcej przyjemności. Na kwarantannach, gdzie nas później umieszczono, grały zespoły ludowe, dzieci tańczyły.

Wyświetlano nam filmy, urządzano koncerty.

Dowiedziałyśmy się, że zostałyśmy objęte akcją hr. Bernadotte, umową z Niemcami, na podstawie której, już przed zakończeniem wojny, byłyśmy wyzwolone. Dowiedziałyśmy się również, że zorganizowane będą transporty do Polski, że po odbyciu kwarantanny będziemy miały możliwość powrotu do Polski.

To były pierwsze dni wolności, pierwsze wrażenia, pierwsza radość. Ale szybko zaczęłyśmy zastanawiać się nad przyszłością. Te późniejsze reakcje na odzyskanie wolności były różne.

Największym naszym marzeniem, często utrzymującym nas przy życiu, było: powrót do domu, przywitanie z najbliższą rodziną, gorąca kąpiel, czysta pościel, przyswoite jedzenie. I teraz, kiedy te marzenia częściowo się już ziszczyły albo spełnią się niebawem, my odczuwamy lęk przed przyszłością.

Czy my po naszych makabrycznych przeżyciach potrafimy żyć normalnym życiem wśród tych, którzy tego nie widzieli, nie przeżywali? Miałyśmy już pierwszy przykład na wyłaniające się trudności.



Szwedzi otoczyli nas życzliwością i troską o nasze zdrowie, byli wyrozumiali i starali się nas zrozumieć. Kiwali głowami i wydawali okrzyki zgrozy, gdy opowiadaliśmy o naszych obozowych przeżyciach. Wierzyli nam, ale nie dochodziło do ich świadomości, że mogli być takie warunki, których oni nie widzieli a często nawet nie słyszeli, że wogóle istniały obozy koncentracyjne. Nie umieli sobie tego wyobrazić, może nieraz posądżali nas, że przesadzamy, że zbyt jaskrawo przedstawiamy niektóre fakty. Wyrosła jakaś bariera nie do przebycia między społeczeństwem, które nie znało, co to niewola, a nami, więźniarkami.

A co będzie w Polsce? czy nasi najbliżsi uwierzą nam? Napewno będą się starali, ale tak zupełnie do końca nie będą nas w stanie zrozumieć.

Ja osobiście bardzo ciężko przeżyłam odzyskanie wolności. Ja, która tak dzielnie trzymałam się psychicznie, nigdy nie zatraciłam wiary w swoje wyzwolenie, mimo przebycia ciężkich chorób, głuchoty, okresowego zaniku pamięci, nigdy nie straciłam nadziei na całkowite wyzdrowienie, teraz z chwilą zetknięcia się z wolnością, załamalam się nerwowo, utraciłam wiarę we własne siły, we własne możliwości. Zdawało mi się, że już nic nie potrafię, nic nie zdołam zdziałać, że jestem zupełnie zero. I podczas gdy inne śmiały się i cieszyły zmianą losu, ja popłakiwałam po kątach, nie mogąc się opanować.

Stan mojej depresji trwał bardzo długo. Już po powrocie do Polski, nie kończyłam studiów, bo byłam przekonana, że nie potrafię się uczyć. Stale zamartwiałam się, że nic nie umiem. Z biegiem czasu stan depresji ustąpił, ale jeszcze bardzo długo miałam koszmarnie sny. W nocy wracała cała gromada przeżytych dni w obozie.

Nie opowiadałam nic o lagrze, nawet mężowi ani dzieciom. Nie mogłam słuchać piosenek, które przypominały mi przykre chwile, nie mogłam oglądać filmów o tematyce obozowej, do dziś nie znoszę wczesnej porannej pory dnia, kiedy czuję się jeszcze niedospana, bo przypominają mi się wtedy makabryczne apele.

Nieraz zastanawiałam się, dlaczego ja, taka drobna, słabowita, mimo przeżytych tam ciężkich chorób, przeżyłam obóz. Dlaczego nie załamalam się, dlaczego nie zostałam muzułmaninem, nie poszłam na druty ani nie upodliłam się, ale pozostałam sobą. Czemu to zawdzięczam? nie bohaterskiej postawie ale silnej woli przeżycia i zbiegowi okoliczności. Niejednokrotnie znajdowałam się w beznadziejnej sytuacji, wydawało się, że bez wyjścia - a jednak ocalałam. Trudno nie wierzyć, że moimi losami kierowała Siła Wyższa, której zawdzięczam ocalenie.

Czuję ogromną wdzięczność dla Boga, że nie tylko ~~nie~~ <sup>za</sup> ocaliłam <sup>anie</sup> ale i za to, że mimo tylu przeżyć, mogę jeszcze pracować społecznie, służyć, w miarę sił, kolegom ze środowiska Armii Krajowej.

Instruktorka ZHP, żołnierz Szarych Szeregów,  
st.sierż.sztab. Armii Krajowej  
Okręgu Radomsko-Kieleckiego "Jodła"

Irena Grzesiewicz  
Zielona Góra

*Irena Grzesiewicz*  
Irena Grzesiewicz "Marta"

*Zielona Góra maj 1986r.*



## MOJA PRACA SANITARIUSZKI

we wrześniu 1939 r.

=====

Wielu młodych chłopców i dziewcząt a zwłaszcza harcerzy i harcerek głęboko przeżywało nastroje, które panowały w Polsce w 1939 roku.

Czuć było w powietrzu wojnę.

WOJNA - nikt z nas właściwie nie wiedział, co to słowo oznacza. Mało słyszało się o okropnościach wojny. Zato dużo opowiadano nam o odwadze, męstwie i bohaterstwie żołnierzy. Śpiewano "jak to na wojnę ce ładnie". Nic więc dziwnego, że, my młodzi, nie lękaliśmy się wojny. Wprost przeciwnie, byliśmy ciekawi tej wojny, która przecież dostarczała tyle okazji, aby wykazać się odwagą i stać się bohaterem. I choć zewsząd zapewniano, że wojny nie będzie, my nie wierzyliśmy, że do wojny nie dojdzie i wcale się tym nie przejmowaliśmy.

Byliśmy wychowywani w duchu patriotyzmu zarówno w domu jak i w szkole i w harcerstwie. Głęboko wierzyliśmy, że "nie oddamy ani guzika i że "jesteśmy silni, zvarci i gotowi" i wyobrażaliśmy sobie tylko walkę i zwycięstwo. Ani na myśl nam nie przyszło, że Polska może przegrać i że nastąpi czas okupacji.

Tymczasem harcerki już od września 1938 roku szykowały się do służby pomocniczej w razie wojny. Na terenie Chorągwi Kieleckiej powstało "Pogotowie Harcerskie" pod zawołaniem "Bądź Gotów" Komendantką "Pogotowia Harcerskiego" była długoletnia komendantka Chorągwi Kieleckiej dh hm Józefina Łapińska.

Ponieważ od urodzenia mieszkałam w Radomiu, byłam zżyta, jako czynna harcerka, z radomskimi instruktorkami. Mimo, że od jesieni 1937 roku studiowałam w Poznaniu, nigdy nie straciłam kontaktu z Chorągwią Kielecką. W ramach akcji "Bądź Gotów" harcerki uczestniczyły w przygotowaniach ludności cywilnej do warunków wojennych. Między innymi szykowałyśmy kartki żywnościowe dla ludności na wypadek konieczności ograniczenia zapasów żywności. Przygotowywałyśmy się także do zastąpienia urzędników państwowych z chwilą ogłoszenia mobilizacji.

1 - go września 1939 roku, natychmiast po ogłoszeniu w Polskim Radiu o przekroczeniu granicy polskiej przez Niemcy, harcerki zgłosiły się do wcześniej zaplanowanych funkcji. Miałam przydział do pracy na poczcie. Stałam na czele zastępu listonoszek. Roznosiłyśmy pocztę do chwili wkroczenia Niemców do Radomia to jest do 8-go września 1939 roku.



Już kilka bomb spadło na Radom. Zginęło parę osób, które schroniły się w bramie domu przy ulicy Traugutta, niedaleko dworca kolejowego. Na drugi dzień wybuchł pożar na dworcu. Mówiło się, że Radom był szczególnie bombardowany, ponieważ Niemcy mieli dobry wywiad i wiedzieli, że w Radomiu jest Fabryka Broni.

My, nieustraszone, biegałyśmy z pocztą po mieście.

Pamiętam, jak bomba uderzyła w plac składu węgla wznecając tumany miazgi węglowej. W mieście wybuchła panika - wołano, że to gaz bojowy, a nikt nie miał maski gazowej. W braku maski wszyscy przykładali do ust zwilżone chusteczki do nosa. Ale alarm był fałszywy.

W mieście panowała ogólna dezorientacja. Nikt nie wiedział, co ma robić. Radio w Warszawie wzywało mężczyzn, zdolnych do noszenia broni do udania się za Wisłę, bo tam organizuje się obrona. Większość mężczyzn usłuchało wezwania, bo wierzono w koncentrację wojska i skuteczność obrony na linii "Wisła".

Nie tylko mężczyźni, całe rodziny wraz z dobytkiem wyruszyły na szosę warszawską pieszo, bo pociągi już nie kursowały, bo obawiano się wkroczenia Niemców do miasta i spodziewano się, że za Wisłą będzie bezpiecznie. Nikt nie wątpił, że wojsko polskie, skoncentrowane za Wisłą, nie pozwoli Niemcom na przekroczenie rzeki.

Ci, którzy zdecydowali się pozostać w mieście przeżywali też ciężkie chwile. 8-go września do Radomia wkroczyli Niemcy. Ulicami przejeżdżały samochody pełne żołnierzy niemieckich, czołgi i motocykle. Zdawało się, że ta tragiczna defilada nigdy się nie skończy. Nad głowami przelatowały bombowce niemieckie, obciążone bombami - leciały na Warszawę. Ich groźny warkot wywoływał lęk o los ~~Warszawy~~ i rozpacz i niepewność o przyszłość Polski.

Początkowo wszyscy siedzieli w domach i nie wychodzili na ulice. Rodzice moi też prosili mnie, abym nie wychodziła z domu. Długo nie wytrzymałam. Jako, ja harcerka, zawsze czynna, pełna zapału do udzielania pomocy innym, miałam siedzieć w domu z założonymi rękoma? Nic nie wiadomo, co się dzieje w mieście, muszę zobaczyć się z harcerkami. Miałam szczęście, spotkałam na ulicy zaprzyjaźnioną harcerkę, instruktorkę, nauczycielkę z Państwowego Gimnazjum hm Janinę Kantorską. Od niej dowiedziałam się, że Niemcy przywożą do Radomia rannych polskich żołnierzy. Umieszczają ich w szkołach i salach kinowych. W gimnazjum im. Marii Konopnickiej, które ja ukończyłam, też urządzono szpital polowy. Janka już tam pracuje jako sanitariuszka. Postanowiłam także zgłosić się do pomocy. Jako harcerka miałam sprawność samarytanki i ukończony kurs Polskiego Czerwonego Krzyża.



Wiadomości tam zdobyte powinny mi wystarczyć.

Gdy weszłam do budynku szkolnego zamienionego na szpital, poczułam już od progu zaduch i ciężkie powietrze nasiąknięte mdłym zapachem krwi i ropy.

Wszystkie wyobrażenia o szpitalu nie pokrywały się z widokiem, jaki ujrzałam. Wyraz "szpital" kojarzył mi się zawsze z czystością, bielą i świeżą pościelą.

To, co zobaczyłam, było czymś strasznym. W salach klasowych i na korytarzach leżeli ranni, na podłodze, na słomie, ciasno jeden obok drugiego. Zewsząd słychać było jęki i postękiwania. Było tak duszno, że trudno było oddychać i tak ciasno, że trudno było się poruszać. Przemogłam się i weszłam na salę.

Przydzielono mnie do rannych, leżących na holu, tam, gdzie zawsze spacerowałyśmy na przerwach międzylekcyjnych.

Nie tylko pierwsze wrażenie było okropne. Okazało się, że brak było materiału opatrunkowego i środków znieczulających ból. Nawet nie łatwo było zdobyć wodę do picia dla spragnionych, trawionych gorączką. Byłyśmy bezradne. Robiłyśmy, co tylko było w naszej mocy, starałyśmy się przynosić gazę, ligninę i watę, zdobyte własnymi sposobami. Tak niewiele mogłyśmy im pomóc, a tyle miałyśmy dobrych chęci, zapału i woli niesienia im ulgi w ich cierpieniu.

Mimo tak strasznych warunków nasi chłopcy nie tracili nadziei i humoru. Lżej ranni kuszytkali na swych okaleczonych nogach, śmiali się ze swego losu, nadrabiając miną, pragnąc w ten sposób podtrzymać na duchu załamanych i wytworzyć jakąś lżejszą atmosferę.

Nie mając dużej możliwości niesienia pomocy sanitarnej, starałyśmy się czymś ich zająć, skrócić im czas rozmową, żartami, graniem w karty.

Korzystając z możliwości swobodnego poruszania się, mogłyśmy nawiązać kontakt z ich rodzinami. Najważniejsze dla nich było powiadomienie o tym, że żyją i gdzie się znajdują. Pośredniczyłyśmy w wymianie korespondencji, grypsów, pomagałyśmy w ułatwianiu im ucieczki. Lżej rannym dostarczałyśmy cywilne ubrania, umożliwiałyśmy wyjście z budynku. Było to możliwe, bo nie było wówczas ścisłej kontroli i silnie obstawionej straży.

Trwało to do chwili likwidacji szpitali i wywiezienia jeńców do Stalagów.

Ranni, którymi opiekowałyśmy się to byli żołnierze armii gen. Kleeberga wzięci do niewoli pod Kockiem.

Kleeberczycy nie zapomnieli o swej bytności w Radomiu. Dowodem ich pamięci i wdzięczności za okazałą im przez radomiaków



pomoc, była uroczystość, która odbyła się w Radomiu 12 października bieżącego roku. Organizatorami byli: Stowarzyszenie Polskich Kombatantów w Kraju, Zarząd Wojewódzki w Radomiu oraz Klub Oficerów i Podoficerów Rezerwy LOK im.gen.Franciszka Kleeberga.

Punktem kulminacyjnym było wmurowanie w ścianę dawnego kina "Apollo", gdzie też był szpital polowy, przy placu Jagiellońskim w Radomiu i odsłonięcie pamiątkowej tablicy o następującej treści:

" W dowód wdzięczności i pamięci dla godnej patriotycznej postawy społeczeństwa miasta Radomia za niesioną pomoc rannym i jeńcom wojennym - Kleeberczykom, uczestnikom ostatniej bitwy kampanii wrześniowej stoczonej w dniach 2-8.X.1939 r. pod Kockiem. Wierni pamięci Kleeberczy. " Samodzielna Grupa Operacyjna "Polesie"

*Grzesiewicz*  
Irena Grzesiewicz "Marta"

Instruktorka ZHP, żołnierz Szarych Szeregów  
st.sierż.sztab. Armii Krajowej  
Okręgu Radomsko-Kieleckiego "Jodła"

Irena Grzesiewicz  
65-536 Zielona Góra

*Zielona Góra, jesiń, 1936r.*

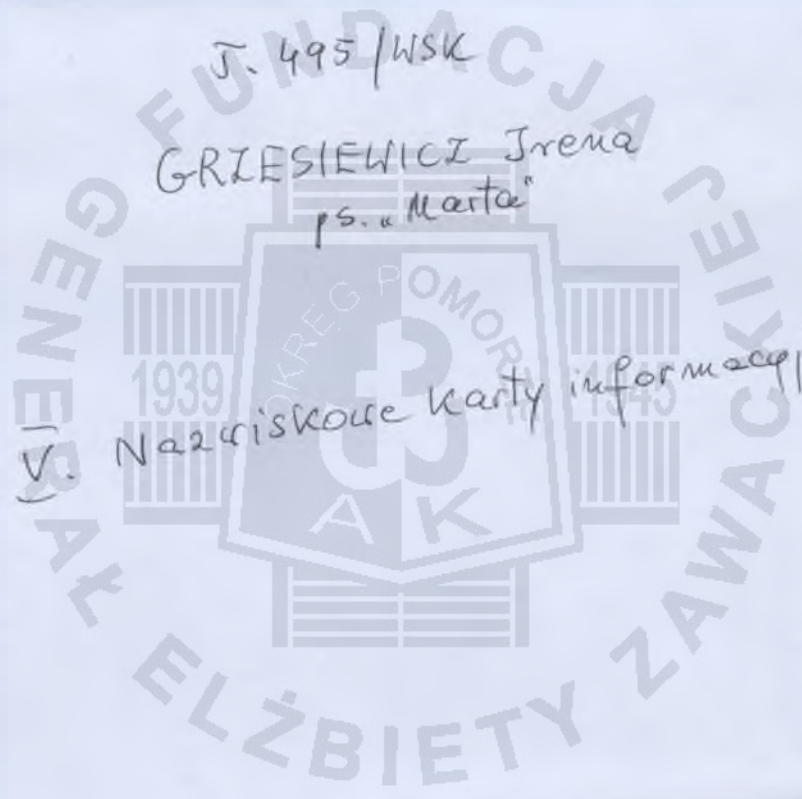


AK  
Kielce

J. 495 / WSK

GRZESIEWICZ Irena  
ps. "Marta"

1939 1945  
Nazistowskie karty informacyjne: 1





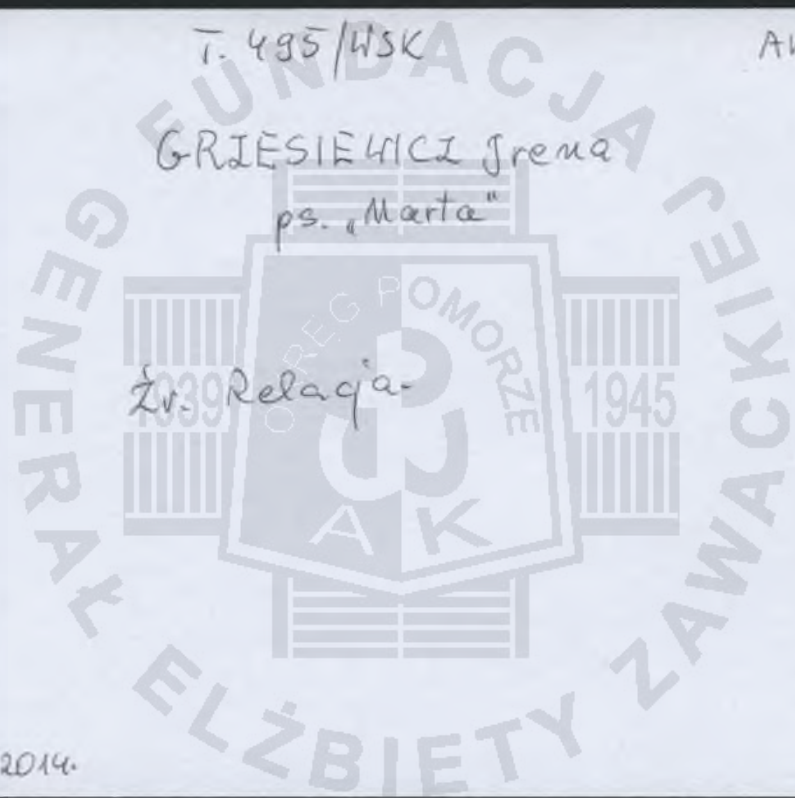
i

T. 495/WSK

AK Kielce

GRIEŚNIECZI Jrema  
ps. „Marta”

Zw. Relacja



B. Rojda 2014.





*grosznicz szene*

Teczka do akt 1824-331 BN-73/7385-07

Spółdzielnia Inwalidów „SWIT” Prabuty ul. Wojska Polskiego 20 a, tel. 60. 69